№ 8. 23. Lutego 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: »**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**«

Obraz powstania i rozmożenia się Polski, jako też pierwszych a już silnych i stanowczych jej kroków na nowo obranej drodze posłannictwa dziejowego, przedstawia nam niedawno wydane „*opowiadanie historyczne*“ K. Szajnochy, pod tytułem: „***Bolesław Chrobry.***“ Pierwszym czynem wystąpienia Polski na widownię historyczną były rządy Mieczysława, który przyjęciem chrześcijaństwa i wejściem w stosunki z zachodem wprowadził swoją Polskę w rodzinę narodów europejskich; i rządy następcy jego Bolesława, który zarówno dzielnie ukracał Niemców — najezdźców Słowiańszczyzny na zachodzie, jak i Waregów, zdobywców ziem słowiańskich na wschodzie.

W owym perjodzie, kiedy królowie niemieccy wraz z purpurą wziąwszy w spuściznie po Cezarach rzymskich i uroszczenie panowania całemu światu, a uroszczenie to łącząc z gorliwością o rozkrzewianie chrześcijaństwa — podboje i zabory wraz z wiarą Chrystusa coraz bardziej na pogańskim wschodzie szerzyli, Słowiańszczyzna północna w zapasach ze wszystkiemi siłami cesarstwa coraz sroższemi klęskami dotykana upadała, i coraz głębiej tonęła. Jakoż pomimo olbrzymich i rozpaczliwych walk, pomimo heroicznych poświęceń w obronie dawnych swych bogów i dawnej swojej swobody, traciła krok po kroku coraz więcej ziemi ojców i potęgi moralnej. I tak też dziać się musiało, do tego w końcu dojść musiało, bo żywiołowi czynnemu i prącemu wszelkiemi siłami fizycznemi i umysłowemi przeciwstawiła tylko opór bierny, i natchnienia jedynie klęskami wywoływane. Do zwycięzkiego odparcia napaści nie brak było ludom słowiańskim sił fizycznych, ni ducha wojennego, gdyż kilkakrotnie porwawszy się zgniatali swoich ciemiężycieli, a poźniej stanowcze nawet odnosili nad temiż korzyście. A jednak ulegli nakoniec; bo brak im było myśli żywej, idei pozytywnej, któraby dążeniom ich była gwiazdą polarną, i przyrodzonym swym rozwojem ich siłom i wytężeniom nadawała kierunek; i w ciągłem je utrzymywała działaniu.

Tą myślą żywotną, tém ziarnem przyszłego życia była nauka ewanielji, i w ślad za nią iść mające uobyczajenie chrześcijańskie. A jak nasz autor (str. 27) powiada: „Słowa Chrystusa: *We mnie jest żywot,* zawierały mianowicie dla Polski pod Mieczysławem prawdę, w którą albo uwierzyć, albo zginąć musiała. Zachodnie ludy słowiańskie, które tej prawdy do serca przyjąć nie chciały, popadły w chrześcijańską niewolę, w której po długiem passowaniu się ze śmiercią, do szczętu nakoniec wyginęły.“

Sława gienialnego poznania tej prawdy i wprowadzenia jej w czynne życie, należy dwom pierwszym chrześcijańskim władcom Polski: Mieczysławowi, i Bolesławowi Chrobremu.

Pierwszy przywodząc Polskę do chrztu uczynił ją uczestniczką — choć poźniej dopiero dojść mających — owoców chrześcijańskiego uobyczajenia; drugi zwycięzko zasłonił ją od krwawego pośrednictwa drapieżnych, mieczowych apostołów słowa bożego, i naród wielki popchnął na drogę dziejowych jego przeznaczeń.

Ten okres dziejów naszych arcyważny i ciekawy, bo kładący fundamenta do całej budowy poźniejszej — przedsięwziął nasz autor w opowiadaniu swem przedstawić przed wzrokiem rozumu, fantazji i myśli zarazem. I z zadania tego dokładnie się wywiązał, gdyż dziełko to wpadając pierwsze na nieużywaną dotąd metodę wykładu dziejów — jest zarazem

krytyczném dla rozumu, postaciowém i plastyczném dla wobraźni i głęboko pojmującém dla myśli.

Stosownie do treści historycznej dzieli autor opowiadanie swoje na trzy główne oddziały: na Wstęp, właściwą historję Bolesława, i Zamknięcie. W pierwszym opowiada zawojowanie i podbicie pogańskiej Słowiańszczyzny zachodniej przez Niemców, i dotarcie ich zaborczego oręża aż do i wgłąb granic Polski. Pogański Mieszko polski przyjmuje chrzest, i z nową wiarą wprowadza nowy porządek społeczeński łamiąc i wtłaczając starodawne swobody patryarchalne pod żelazne berło woli jedynowładczej. Z przeciwnika staje się stronnikiem i rozkrzewicielem chrześcijaństwa, a przeto wrogiem nieprzyjacielskiego mu pogaństwa, a sprzymierzeńcem Niemców. Mieczysław „*Wielki*“ pojął i podjął przypadłe narodowi swemu powołanie zostania przednią strażą i przedstawicielką cywilizacji chrześcijańskiej na północnym wschodzie Europy.

W dziejach samego Bolesława trzy oddzielne uważać się dają ustępy. Zrazu Bolesław usiłuje tylko zająć i utrzymać stanowisko ojca swego: skupia i jednoczy *per fas et nefas* wszystkie ziemie ojcowskie, rozszerza je, i potęgę swoją ustala powagą jedynowładztwa, i urządzeniami rycersko wojennemi. Jak rodzic Mieczysław trzyma i on obosiecznością rozumu i miecza niepożądanych cywilizatorów zachodnich na wodzy, a pod zasłoną „*przyjaźni*“ z cesarstwem wzmaga się w potęgę i dostatki, i przygotowuje środki przytarcia tych „*przyjaciół,*“ i wzniesienia się samoistnego i niezależnego. Następnie po śmierci ostatniego Ottona rozpoczyna się jawna wojna przeciw cesarstwu, i następuje szereg wypraw, których ostatecznym rezultatem dla Polski było tylko zwycięzkie odjęcie się napaściom i uroszczeniom do zwierzchnictwa. Jak główną pobudką do wojen tych była Bolesławowi konieczność odporu przeciwko zaczepce, tak też i wyprawy jego noszą na sobie cechę raczej krwawych odwetów i odpornych wyczekiwań wycieńczenia się nieprzyjaciół, niżeli zaczepnych i zaborczych najazdów. Ztąd korzyścią tych wojen dla Polski było głównie utrzymanie się, a nie rozprzestrzenienie. Musiał zatem Bolesław przymuszony nie tyle potęgą cesarstwa, ile oporem samychże swego powołania niepojmujących Słowian zachodnich, mianowicie Czechów — zaniechać zamysłu rozszerzenia się w tę stronę, i założenia wielkiego państwa *zachodniego.* Niech nam wolno będzie przytoczyć tu słowa samego autora. „Z rządców małego „szczepu Polan mieli xiążęta polscy stać się władcami ogromnej rzeszy słowiańskiej, której ugruntowanie się byłoby o dwie trzecie części zmniejszyło państwo niemieckie, albo wcale je zniosło. „Nie są to próżne domysły, ale rzeczywiste probiercze dążenia owczesnej Polski i Bolesława. Gdyż „jak cały naród od zachodu swoje pierwsze powołanie do życia otrzymał, na zachód ciągle oczy „dotychczas miał obrócone, tak też głównie ku „zachodowi, ku Europie, jako ku stronie światła „i cywilizacyi, ciągnęło Bolesława; w gronie zachodnich monarchów, a tém samém na obszarze „zachodniej Słowiańszczyzny, rad on był potężnym „zostać królem. I długiego potrzeba było czasu, „zanim Bolesław, zanim cała Polska później pojęła, „że stroną, kędy jej przeznaczono było zajaśnieć, „nie był zachód.“

To czynne i dzielne, a nie odporne jedynie wywarcie potęgi polskiej, to uzyskanie „*ziemi przyszłości*“ jak je nasz autor bardzo trafnie nazywa, a którego Bolesław daremnie na zachodzie szukał, znalazł wreszcie na wschodzie, w wyprawie kijowskiej. Z wyprawy téj oprócz sławy oręża i wywarcia przewagi polskiéj, oprócz zaufania sobie, jakiego naród przez wstępnie podjętą, a zwycięzko przeprowadzoną wojnę nabyć musiał, „niewysłowiona moc skarbów, mnogość uprowadzonego ludu, cały *odzyskany* kraj czerwieński „przypadły Polsce w zysku.“ Tu autor w przypisku bardzo zwycięzko zbija błędne mniemanie oparte na świadectwie Nestora, jakoby Bolesław powstaniem ludu i wymordowaniem żołnierzy polskich w Kijowie — do ucieczki ztamtąd był przymuszonym. — Opowiadanie o rządach Bolesława zamyka obrazem domowego życia w kraju i na dworze królewskim, opisując — o ile źródła dozwalają — jak najplastyczniej i najszczegółowiej „*spoczynek w domu.*“

Trzeci główny oddział opowiadania ma na celu okazać, jak ziarno przez Bolesława Chrobrego rzucone pomimo wszelkich zamieszek i burz po śmierci jego wybuchłych, nie zaginęło marnie; jak Polska pomimo cofnięcia się chwilowego z drogi postępu, a wygórowania pogaństwa pod Bolesławem — wnukiem Chrobrego — jednakże przez Kazimierza *restauratora*, drugiego wnuka Bolesławowskiego znowu w kolej przez Chrobrego zakreśloną wprowadzoną została.

Tyle co do treści historycznej i historjosoficznej dzieła tego.

Co się tyczy formy i obrobienia, nie możemy, jak tylko oddać pisarzowi opowiadań najzupełniejszą w tym względzie sprawiedliwość. Nie łatwém było zadanie odłamki dziejów z czasów zamierzchłych — porozrzucane po kilku kronikach, i błędami a indiwidualnym sposobem widzenia kronikarzy mącone — zebrać, i jak piękność ową medycejską w całość złożyć i myślą ożywić; a przy najściślejszej wierności historycznej dzieło swoje uczynić jeszcze zajmującém i nie nużącém. To wszystko osiągnął S. w swej książce. — Za szczgólniejszą zaletę poczytujemy mu, iż w badaniach przewodniczyła mu jasność krytycznego rozumu żadnemi uprzedzeniami i założeniami a priori nie zamglona, że w zestawieniu faktów postępował od początku do końca z niezachwianą konsekwencyą, i uniknął wszelkich „*domysłów*“ na jakie badacze nasi historyczni niestety tak radzi wpadają, a tylko w ogólném zapatrywaniu się i osądzaniu konstellacyi dziejowych był — choć wcale nie indiwidualnie — myślącym, i umysłowo odgadującym.

Pobitna pod Rzeszowem.

(Ciąg dalszy.)

II.

Zemsta.

Cech rzeźniczy miasta Rzeszowa, podobnie jak wszystkie niemal cechy podówczas, miał i ma jeszcze, przywilej istnienia pisany na pargaminie zaczynający się:

My Jérzy Xiąże na itd. a kończy się: Dan w Rzeszowie roku 16 — z podpisami, z woskową w blaszanej puszce pieczęcią na jedwabnym powrózku, z wyciśniętym herbem Leliwy i napisem w koło: Sigillum Castellani Sendomiriensis.—

Ten pargamin dziś martwy i nieużyty, w ladzie cechowej jako pamiątka dziejowa chowany, był wów czas w pełni życia i wykonania.— Między punktami były i dwa następujące:

1. Rzeźnicy i socharze mają sprawiedliwą wagę dawać, i zdrowe bydło bić.
2. Rzeźnicy i socharze mają dawać mięso do zamku o grosz taniej na funcie, a dla psiarni i bestyj darmo ile potrzeba.

Trzeba zaś wiedzieć, że przed kilkadziesiąt laty daleko obfitszy zwierz w lasach przebywał, niżeli dziś. Nie ma o tem co wiele prawić, bo to wiadoma rzecz. Dziś biednego kota na angielskich koniach w czerwonych kabacikach z kilkudziesięcią psami pędzą przez płoty i rowy i wtedy z niedźwiedziem tyle korowodu nie było. Psiarnia ogarów czarnopodżarych i kilkanaście kundysów ogromnych na niedzwiedziu i dziku zaprawionych, z resztą obława i sieci, stanowiły rząd mysliwski.

Bagatela! psiarnia ogarów i kundysow, tać ona by dziś po darowanej pańszczyznie i osypach zjadła szlachcica i z całém gospodarstwem. Ale wtedy to to niewiele kosztowało. Kto nieposiadał miasteczka z rzeźnikami, wymówił sobie wydzierzawiając młyny, osypki dla psiarni. A kto miał miasteczko, nakazał rzeźnikom i socharzom pod karą wypędzenia z miasta batogami, żeby codziennie tyle a tyle mięsa, jelit i t.d. na psiarnie dawali. Był to zwyczaj dziwny, ale nie tylko w Polsce lecz w całej prawie Europie używany. Biada temu, któren z przypadającej kolei nieoddał powinności. — W Rzeszowie, gdzie prócz zwykłej i licznej psiarni na zamku kilka wilków na powrozie a dwa niedzwiedzie na łańcuchu do nozdrza koluszkiem przywiązane leżały, wynosił żer kilkadziesiąt funtow dziennie, i był wielkim ciężarem rzeźnikom i socharzom.

Z tąd wieczne spory i skargi.

Pan Żyłowski, pełnomocny włodarz dóbr rzeszowskich, a wielki miłośnik owych bestyj, jak zwyk-

le, tak i wtej sprawie nieznał żartów. Chcąc raz na zawsze położyć koniec skargom i wprowadzić—jak się wyrażał—porządek, kazał wystawić na dziedzińcu zamkowym wysoką drewnianą kobylicę z ostro zaciosanym grzbietem, i pogroził rzeźnikom i socharzom, że ich po kolei na nią wsadzać każe, jeżeli niewypełnią powinności.

Wiedział o tem wszystkiem Grzesio, i oparł na tem plan zemsty swojej.

Niemogąc dojść sprawcy szturkańca w bok, umyślił się pomścić na panu młodym jako odpowiedzialnym gospodarzem wesela.—

Przypadek zrządził, że właśnie na Miszczańskiego kolej dostarczenia żeru przypadała.

W nocy zatem jeszcze u wnijscia bramy do ogrodu zamkowego, przez któren koniecznie trzeba było przechodzić do zamku, uwiązał starego niedźwiedzia bez kagańca, a za bramę wypuścił kilka potężnych kundysów. Parobek Miszczańskiego jak zwykle dodnia żer dla psiarni niosący, przyszedł zamyślony pod samą bramę.—

Tam niedźwiedź skoczył z rykiem ku niemu; on przestraszony rzucił z siebie ciężar, i począł uciekać, psy nadbiegły i podczas gdy go jedne pędziły i za płótniankę szarpały, drugie z niedźwiedziem na spół żer rozszarpały i rozwlekły po ogrodzie.

Przestraszony parobek przybiegł na Opatówkę, gdzie wesele z całą okazałością szło swoim trybem. — Nim się dopytał swego pana, nim mu opowiedział co się stało, zeszła dobra chwila.

Trudna rada; wszyscy zabałamuceni, jakoś się nierychło zebrali zaradzić złemu. Wreszcie wybrał się Bartłomiej Murawski do zamku wywiedzieć się o stanie rzeczy. Przyszedłszy da bramy zastał Grzesia igrającego z niedźwiedziem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“

— Na wieki.

— Dzień dobry Panie Grzegorzu.

— Dzień dobry.

— Przyszedłem się też tu zapytać, czy tu parobek Miszczańskiego oddał żer dla psiarni?

— Oddał, odrzekł spokojnie Grzesio, zrzucił w prawdzie tylko przed bramą, bo się niedźwiedzia przeląkł, ale parobcy wzięli i do psiarni zanieśli.

— Ha-no kiedy tak, to dobrze, odrzekł Bartłomiej, pożegnał się z Grzesiem, i miał odchodzić.

Wtem słyszy zboku znany głos xiędza gwardjana OO. Reformatów, bliskiego sąsiada zamku, i pana Żyłowskiego włodarza:

— Panie Bartłomieju! panie Bartłomieju!

Bartłomiej się zwrócił ku niemu, pocałował w rękę i czekał na żądanie.

A cóż ty tu tak rano w zamku robisz? zapytał stary gwardyan.

To a to odpowiedział mu Bartłomiej.

— Nie woleli byto ubogim dać tyle mięsa, co go codzień tym niedobrym bestjom dają, odrzekł gwardjan okrutnie się tych wilków i niedźwiedzi bojący.—

— Ha! cóż robić, taki z zamku rozkaz, musimy słuchać, bo pan włodarz nie zna żartów, odrzekł Bartłomiej.—

Gwardjan niechcąc mówić nawet o niemiłym mu przedmiocie, zaczął o interesie.

Niezadługo nadchodził odpust w kościele Reformatów; zamówił zatem xiądz gwardjan kilkadziesiąt funtów pieczeni na zrazy, mostku i krzyżówki na rosół, zresztą barana, móżdżku cielęcego i parę xiągów wołowych; boć to móżdżek na sniadanie, a flaczki na obiad odpustowy koniecznie są potrzebne.

Sprawiwszy interes i pocałowawszy xiędza gwardjana w rękę, pośpieszył Bartłomiej na Opatówkę, i kilkoma słowami uspokoił obawy rzeźników.

Kto bywał po weselach, wie, co to znaczy ranne dobijanie tańcu. Jest to zwykle najlepsza zabawa, i ciągnie się często kilka godzin w dzień. Na weselu tak sutém jak ono Miszczańskiego, nie było końca dobijaniu, i ledwie koło jedynastej zrana ustało.

Kiedy ucichło, muzykańci poszli się przedrzymać chwilkę, a goście co dotrwali do końca, siedzieli, gwarzyli, i żartowali z pana młodego.—

Wsamo już południe wchodzi starszy hajduk z czterema hajdukami, i każe pana młodego na zamek brać. Kobiety w płacz, panna młoda mdleje, mężczyźni perswadują; nic nie pomogło. Star-

szy hajduk zasłaniał się rozkazem pana włodarza, i nawet przyczyny zdać nie umiał.

Wzięto zatem Miszczańskiego, a brat jego młodszy Marcin, uczeń szkół pijarskich, autor szturkańca owego, wraz z Bartłomiejem skoczyli naprzód wywiedzieć się, i zapobiedz złemu.

Zbliżając się do zamku usłyszeli mocne wycie głodnej psiarni i wilków.

Murzyn zamkowy pokojowiec księżnej pani, przed bramą czekający pełen ciekawości, potwierdził ich w mniemaniu, i dodał pełen uciechy: będą rzeźnika bili!

Bartłomieja aż serce zabolało, że z jego winy biedny Miszczański krzywdę poniesie, ale sobie wspomniał na X. gwardjana, i co tchu pobiegli do klasztoru ojców Reformatów.

Gwardjan właśnie ze mszą wyszedł; musieli zatem czekać.

Tymczasem Miszczańskiego przyprowadzono na zamek. Tłum ludzi cisnął się za nim, ale nikogo niewpuszczono, prócz niego samego. Owszem — aby odstręczyć cisnących się, przywiązano niedźwiedzie u wnijścia, a hajducy najgrawali się z płaczu kobiet, któremu wilki i psiarnia wyciem odpowiadały.

Gdy przyszli na dziedziniec, wyjrzał pan włodarz oknem, i zawołał: „Na kobylicę z nim!“

Pachołcy się zbliżyli i chcieli podsadzić, ale że to był chłop tęgi, skoro im pięść pokazał, odstąpili i grozili kijmi, on zaś kłaniał się do okna panu włodarzowi i prosił o wysłuchanie. Grzesio widząc, że mu się cały plan gotów nieudać, poszedł do psiarni, wypuścił zajadłe ogary i poszczuł je na dziedziniec. Hajducy nadstawili potężne kije cofając się w sień, a biedny bezbronny Miszczański widząc oczywiste od psów kalectwo, musiał rad nierad sam leść na kobylicę. I mimo ostrego jej grzbietu rad był, że się mógł schronić przed zajadłą zgrają, która bresząc podskakiwała i wiszące od kapoty poły targała.

Panu Żyłowskiemu zaś tak się ten dowcip Grzesia podobał, że natychmiast pobiegł do księżnej opowiedzieć jej, i zaprosić na tak pocieszne widowisko.

Niebawem murzyn pootwierał okna, i najprzód się pojawił karzeł jej z batożkiem, potem ulubione dwa pieski wyskoczyły bresząc na okno, a w końcu przyszła księżna z pannami i roześmiała się na głos.

Nie ma co mówić, że płaczliwo-śmiészném było położenie biednego rzeźnika. Nie chcąc życia lub przynajmniej zdrowia narazić, musiał się trzymać kobylicy i siedział przygarbiony, a łzy mu po wąsach kapały. Czuł się pokrzywdzonym, niewinnie zhańbionym, prócz boleści jaką mu ostry grzbiet mimowolnego wierzchowca sprawiał.

Na domiar zbytku wziął murzyn sikawkę, i sikał na niego wodą z górnego okna, co psy jeszcze bardziej rozjuszało, a dwór księżnej do żywszego śmiechu pobudzało.

Bóg wie dokądby tego było, gdyby nie mocne pukanie w bramę zamkową.

Xiądz gwardjan, xiądz gwardjan, dały się słyszeć głosy. — Księżna kazała otworzyć, a psy od bramy poodpędzać.

Wszedł poważny xiądz, siwy jak gołąb, a za nim Bartłomiej, i wyjaśniwszy prawdę, począł gromić surowo włodarza i dworzan, że tak niewinnie człowieka pokrzywdzili. Grzesiowi mianowicie zagroził pomstą bożą i kościelną.

Na głos poważnego kapłana odstąpiła księżna od okna, śmiejąc się jednak do upadłego, i zjadłszy z największym smakiem obiad, darowała w skutek tego panu Żyłowskiemu konia, Grzesiowi pas, a murzynowi talara.

Miszczański starszy odchorował swą krzywdę i hańbę, a Marcin i rzeźnicy, mianowicie Bartłomiej prosili Boga, aby im się Grzesio w ręce dostał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Studenci.

(Ciąg dalszy.)

Ledwie Jasio przyszedł do zdrowia, natychmiast ojciec jego naglić zaczął, żeby jechał do szkół. Jasio był zawsze bardzo nabożny, a wciągu swojej słabości znalazł taką ulgę w zdaniu się na wolę Boga, że gdy mu ojciec oznajmił zamiar oddania go do Seminarium, to jako dobrodziejstwo przyjął.

Jednak na trzy dni przed odjazdem zastałem Jasia smutno

siedzącego na łóżku, a gdym przystąpił do niego on mi rzekł z cicha:

— Władziu, ja się żegnam ze światem, i oddam się zupełnie świętobliwemu życiu kapłana — tu się zaciął jakby chciał coś dalej mówić, ja prawie mimowolnie zapytałem: Cóż dalej? — On spojrzał na mnie łzawém okiem i wpatrując się we mnie badawczo mówił cedząc słowa:

Co dalej? — ty nieodgadujesz? —

Milczałem, on zaś po długiej przerwię rzekł z westchnieniem

A Zenia? — Potem wstał i dodał szybko:

Ona zapomni— słuchaj Władziu, chcę odbyć pierwszą próbę poswięcenia, zrób tak, żebym się mógł jutro pożegnać z panną Zenobją, zniosę to jak na męża przystoi. —

To powiedział z dumą, odwrócił się, otarł łzy i sciskając mnie za rękę jeszcze raz prosił:

Zrób to Władziu, zrób —

Odszedłem i pierwszy raz zastanawiałem się nad tém, czy mam być pośrednikiem między Jasiem i Zenią?—

Umyśliłem tylko powiedzieć to Zeni, co mi Jasio mówił, a jeżeli ona sama zawezwie mnie do pośredniczenia, wtedy gdyby bardzo nalegała, nareszcie uczynić to. Myślałem żem niezmiernie roztropny plan ułożył, ale później poprawiając plan, umyśliłem zupełnie nic nie mówić Zeni.

Przyszedłem do domu, usiadłem koło Zeni jak zwykle, jednak milczałem, chociaż zwykle natychmiast opowiadałem jej wszystko com robił i mówił z Jasiem. Chwilę Zenia siedziała z obojętną niby miną, na jej twarzy malowała się wprawdzie niespokojność i oczekiwanie; ale niezdradzała tego, tembardziej że w pokoju była p. Lonicera, Zosia, Tecia, Ludgarda i p. Maurycy. Oni rozmawiali dość żywo, tak że mogliśmy oboje bez obawy, aby nas niesłyszano z cicha rozmawiać z sobą. Zenia wzięła mię za rękę, i spojrzała pytająco na mnie; nareszcie gdy jeszcze milczałem, spytała cicho:

Z kąd powracasz? —

Od Jasia — odpowiedziałem lakonicznie.

Czy zdrów już? —

Zdrów. —

Czy wychodzi? —

Pojutrze ma pojechać do Lwowa. —

Na to drgnęła ręka Zeni w moim spoczywającą ręku, twarz spłonęła rumieńcem i zbladła natychmiast, znać było że wgłębi jej duszy błysnął płomień gwałtownych uczuć, potem z udaną spokojnością rzekła:

Pojutrze? — do Lwowa? —

Tak jest, do Seminarium. — Jeszcze raz drgnęła nierównie mocniej i natychmiast cofnęła swoją rękę ku sobie.

Potem wstała odemnie, poszła do drugiego pokoju gdzie nikogo niebyło, i po chwili wróciła spokojna tylko bledsza niż zwykle; bawiła się z nami w gry, okazywała się nierównie weselszą, chociaż znać było, że śmiech jej był wymuszony: a pierś czasem się wzniosła jak od stłumionego westchnienia lub po długim gwałtownym płaczu.

Całą noc byłem niespokojny, zlecenie Jasia ciężyło mi na sercu jak wola umierającego; na drugi dzień rano już biegłem do Zeni, aby jej powiédzieć wszystko. Moje wpadnienie do pokoju sióstr o niezwykłej porze zwróciło uwagę wszystkich obecnych, któraś zawołała:

Co to Władziu, czy ty się zląkłeś czego, takiś blady?

Zenia utopiła śledcze spojrzenie we mnie i jakby mnie zrozumiała spuściła natychmiast oczy. —

Gdy zmieszany rzekłem:

Ej nic, nic — i chciałem wyjść; zatrzymały mnie dziewczęta wołając:

Powiedzno, co ci to? — Co się stało? i t p. ale Zenia nieruszywszy się z miejsca rzekła:

Dajcie mu pokój, puśćcie go. —

Nareszcie na czyjąś z cicha uczynioną uwagę:

On miał pewnie jakieś zajście z tatkiem, puśćcie go, puszczono mię.

Wróciłem do mego pokoju i siadłem nad książką, ale otóż wnet i Zenia weszła do mnie, i stanąwszy przy stole gdzie siedziałem zapytała:

Czegoś ty chciał odemnie? —

Ja znowu moją ułożoną rolę przybierając rzekłem: —

Od ciebie? — nic niechciałem od ciebie.

Ona chwilę stała zamyślona koło mnie, nareszcie z uśmiechem prawie figlarnym zapytała:

Widziałeś się już dzisiaj z Jasiem?

Nie jeszcze, ale będę sie widział, odrzekłem, o jedynastej godzinie mam być u niego. —

Kłaniaj mu się odemnie, rzekła tym samym tonem i wybiegła, ale pomimo figlarnej na pozór wesołości odzewała się gorycz jakaś w jej głosie.

O jedynastej godzinie byłem u Jasia. On mię pytał, czy umówiłem z Zenią miejsce schadzki; ja mu opowiedziałem całe zachowanie się moje i Zeni od wczoraj aż do ostatniej chwili. Wysłuchał milcząc mojej powieści, a po chwili wezwał mię na przechadzkę.

Szliśmy jakby mimowolnie ku naszemu ogrodowi; Jasio nic nie mówił, a dusza jego była zanurzona w głębokiem marzeniu — w jego oku jaśniało natchnienie męczennika wiary.

W ogrodzie Jasio prowadził mię do miejsca zacienionego wielu klombami, otaczającemi w jednośrodkowych łukach altanę. Idąc tam wspomniał jak o rzeczy zupełnie wiadomej o tem, co dla mnie dotąd tajemnicą było: Chodźmy do tej cienistej altany, gdzie zwykle Zenia siadywała ze mną — pieściła ona serce moje swoją słodką mową, jakby się za mną wszyscy anieli modlili.

Gdyśmy weszli do altany zastaliśmy tam Zenię. Oboje się powitali, jakby się z pewnością tego spotkania spodziewali, dla mnie jednego była to niespodzianka. Byłem dość naiwnym

pytać się kto im tę schadzkę ułatwił; oboje się uśmiechnęli, Zenia powiedziała:

Serca nasze — nieprawdaż? i podała z pieszczotliwém przymileniem się rękę Jasiowi, którą ten z największym zapałem uścisnął.

Całując zaś jej rękę powiedział uroczyście:

Nie — to nasz anioł stróż sprowadził nas tu.

Usiadł koło niej, a jego spojrzenia żeniły się ze spojrzeniami Zeni, za ręce się oboje ujęli i wzrokiem tak byli z sobą spojeni, że żadném zaklęciem nie oderwałbyś ich od siebie.

Wtedy pojąłem jaka jest władza spojrzenia, jak wiele można powiedzieć bez słów, uczynić bez uczynku. — Rozmawiali oboje z cicha, ja zaś zająłem się około blizkich kląbów; naraz usłyszeliśmy głosy opodal mówiących, które coraz się zbliżały; Jasio zawołał:

Idę! — na to słowo jakby jedną pchnięci ręką połączyli się oboje jednym długim pocałowaniem, na mnie uderzyły wszystkie ognie uczucia i w pół zadziwiony w pół przelękniony wyjąknąłem:

Zeniu, Jasiu, cóż wy robicie? —

Powstali oboje, Jasio spojrzał rozognionym okiem na mnię i pełen uroczystego zachwytu powiedział:

Cóż to cię dziwi? w tak czystym uczuciu niema grzechu żadnego, a wreszcie — dodał z gorżkim uśmiechem — jeżeli tak, to ja za tę chwilę grzechu odpłacę całém życiem pokuty, żegnam cię Zenobjo . . . —

Zenia siadła, padając prawię na ławeczkę i zasłoniła chustką oczy rzewnie płacząc, Jasio zaś przykląkł koło niej prosząc: Nie płacz aniołku mój, nie odpłaczesz tego co Bóg zrządził, poddajmy się Jego woli a we wspólném cierpieniu znajdziemy ulgę. — Chciał ją przymusić do odjęcia chustk od ócz, gdy nagle weszła w aleę prowadzącą do altany p. de la Laiterie z panią Lonicerą szukając Zeni. Gdybyśmy się byli zachowali zupełnie cicho byłyby przeszły koło altany niewidząc nas, ale Jaś zerwał się prędko, pochwycił chustkę Zeni łzami przesiąkłą i zniknął w krzakach; Zenia zaś niemogła spostrzegłszy p. de la Laiterie stłumić lekkiego wykrzyku. P. de la Laiterie usłyszawszy to, zwróciła się ku nam a zastawszy Zenię zapłakaną, która dla pokrycia pomieszania udała że szuka chustki zabranej przez Jasia, zbliżyła się i ku największemu zadziwieniu mojemu uścisnęła Zenię mówiąc:

Tużeś ty kochana Zenobio, ach po tém okropném nieszczęściu mama i ja niespokojne jesteśmy, kiedy które z was tylko na chwilę się oddali. A ty poczciwa Zeniu widzę już wiesz o wszystkiem i schowałaś się tu ze swoim żalem; dobrześ zrobiła moja droga, bo przy mamie nie trzeba nam płakać nad tém nieszczęściem, każda łza w oczach czyich spostrzeżona jest dla niej powodem do nowych bolów — ach ona tak okropnie cierpi! — i zaczęła sama płakać, potem wzięła Zenię za rękę chcąc ją zaprowadzić do pokoju; Zenia trochę się ociągała a p. Lonicera ułatwiła jej pozostanie w altanie mówiąc do p. de la Laiterie:

Zenia za nadto wzruszona, by się mogła matce pokazać, niech pani lepiej pójdzie do niej, a ja tu z Zenią zostanę i przyprowadzę ją do matki jak się trochę uspokoi.

Pani de la Laiterie odeszła, Lonicera została z nami i więcej z wyrazem boleści i żalu niż gniewu rzekła do Zeni:

To tak dotrzymujesz mi słowa Zeniu?

Zenia pobladła, z obłąkanym wzrokiem dała się powodować jak chciano, w tej chwili można było wszystko z nią zrobić bez najmniejszego z jej strony oporu. Pani Lonicera gdy ją wzięła za rękę i pociągnęła siadając ku sobie, uczuwszy martwe prawie zimno ręki a poddawanie się również, bezżywotne, nie mogła stłumić obawy o jej zdrowie i współczucia; przycisnęła ją do serca swego, Zenia padłszy przy niej na kolana, sparła głowę na piersiach pani Lonicery, zawsze milcząca, bladą, zimna jak posąg ruchomy.

Wtedy ochłonąwszy z przerażenia i wzruszenia, jakie we mnie wzbudziły te dwie sceny, tak rychło po sobie następujące, chciałem odejść, aby się dowiedzieć o jakiem to nieszczęściu p. de la Laiterie mówiła. Teraz bowiem dopiero pojąłem że p. de la Laiterie nie musiała widzić Jasia, i że coś innego zajść musiało, co ona za przyczynę żalu Zeni miała.

Niespokój mnie opanował największy, bo przypomniałem sobie, że wczoraj po obiedzie na którym był p. Schleicher, po krótkiej naradzie przy zamkniętych drzwiach, między nim, moimi rodzicami, Jadwisią i p. Ludgardą, wielki był niespokój w domu naszym.

Zaraz po owej naradzie wyjechała naszym pojazdem jak najspiesznniej p. Ludgarda sama jedna niewiadomo dokąd. W parę godzin później wyjechał p. Schleicher, wysławszy umyślnego do leśniczego, a ten umyślny wrócił późno wieczorem i przyniósł list do Jadwisi od p. Achille. Jadwisia niechciała go nikomu pokazać, wyszła nieprzeczytawszy, niespokojna do ogrodu; potem zamknęła się w swoim pokoju i cały wieczór nie było jej między nami, tylko koło jedenastej w nocy kiedy szedłem spać do mojego pokoju w oficynie, widziałem w Jadwisi pokoju okno całe otwarte a spuszczoną firanką i świecą pałącą się w pokoju wiatr igrał jakby tam był jedynym gościem.

Przypomniałem sobie także, iż dziś przy śniadaniu nie było Jadwisi, a na zapytanie rodziców co się z nią dzieje, odpowiedziała pokojowa, że jeszcze spi, bo drzwi do jéj pokoju zamknięte. Ja potwierdziłem, że zapewne spi, bo wczoraj do późna światło w jéj pokoju było, znać długo nie spała.

Matka z obawą rzekła na to, zwracając się do ojca: Ona się jeszcze rozchoruje. . . . A cóż ja poradzę, rzekł ojciec udając w głosie obojętność, ale w jego oku łza błysnęła.

Pani de la Laiterie zaczęła mówić, że to przeminie i wszczęła się jedna z owych narad rodzicielskich, przy których

mój ojciec nierad miał dzieci świadkami; że jednak za nadto był względny, aby nam wręcz kazać odejść, więc pod różnemi pozorami wydalił nas z pokoju; mnie wysłał do stajni, siostrę jedną do ogrodu warzywnego, drugą do cieplarni dla dopatrzenia porządku, a reszta towarzystwa już się domyśliła, że nie ma być świadkiem rozmowy, i rozeszli się wszyscy.

Prócz tego wszystkich umysły były jakimś niepokojem ogarnione, był to stan przedburza w naszéj rodzinie.

Rozpamiętawszy więc w jednej chwili wszystkie te okoliczności obawiałem się, że już padł ten grom który miał zniszczyć nasze szczęście rodzinne.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd literacki.

Wiarus *księdza Prusinowskiego,* wychodzi w Poznaniu dwa razy na tydzień *„w dni targowe: t. j. w Poniedziałek i Piątek rano.”* Przedpłata wynosi dwa złote polskie na kwartał. Pismo to, którego dopiero dwa numera do nas się dostały, jest czysto ludowe, i nie wiemy czy mogło być szczęśliwiej zastósowane do oświaty i usposobienia ludu polskiego. Nie możemy się stósowniej wyrazić jak, gdy *„Wiarusa”* nazwiemy *najpoczciwszym* z pism jakie dla naszego ludu obecnie wychodzą. Treść i dążenie tego pisemka okazuje się najwyraźniej z jego własnych słów:

„O czem więc będziemy pisali i mówili w tym naszym *Wiarusie?* Oto naprzód o wierze naszej świętej, którą nam pan Jezus Chrystus podał dla zbawienia duszy, a której nas uczy nasz kościół święty, rzymsko-katolicki. O tej wierze świętej, którą ojcowie wasi wyznawali, i którą my wyznajemy, całą duszą pisać wam będziemy.”

„A że ta wiara nasza jest połączona z naszą wolnością polską, żeśmy Polakami i coraz więcej Polskę kochać mamy, więc wam pisać będziemy o naszej polskiej ziemi, o pięknych miastach i wsiach bogatych polskich, o naszej polskiej rzece Wiśle i o naszych górach polskich ze złotem i srebrem, o naszych braciach kochanych pod Warszawą, pod Krakowem, ode Lwowa i od Poznania, jakie są piękne zwyczaje i obyczaje na polskiej ziemi. I pisać wam będziemy o dziejach polskich.... A więc o sejmach i o złotych czasach też wam pisać będziemy. — A potem też pokaże wam, jak się poczęło źle dziać pomiędzy naszymi ojcami, jak zaniedbali wiary, jak zaczęli zbytkować, a nareszcie wiarę swą świętą przedawać, jak zostali ujarzmieni, o tem też trzeba pisać, *abyśmy się umieli poprawić, kiedyśmy się umieli zepsuć.* A dalej opisywać wam będziemy, co się dzisiaj dzieje pomiędzy naszemi.”

„Gospodarzem toć ja nie jestem, a większa część pomiędzy wami, to w roli robi, bo co Polak, to jeżeli nie ksiądz, to już albo do pługa, albo do szabli stworzony, a i księża nawet w polu robić lubią. Więc gospodarzem nie jestem, alem się umówił z dobrymi gospodarzami, co mi doniosą dobre i o gospodarstwie rady, jak co w polu należy dobrze urządzić, jak gdzie nowe jakie a pożyteczne wymyślą rzeczy, żebyście też wiedzieli.”

„A potem będą też nowiny ze świata o rozmaitych rzeczach, ale najwięcej takich, co się około naszej Polski obracają i około naszej świętej wiary. Boć cóż nam tam potem wiedzieć, czy Hiszpanie mają takie prawa albo siakie, czy szwedzki król zdrów albo chory, od tego mnie ani włos nie zaboli; ale co się naszej polskiej ojczyzny albo wiary tyczy, to nas wszystkich mocno obchodzi i o tem wam będziemy donosili z całego świata i ze wszystkich sejmów i od wszystkich królów jak co o Polakach uradzą albo powiedzą.

A czasami napiszemy wam też i wierszami pieśni ładne i piosneczki światowe o Polsce i polskich chłopach i o polskich dziewkach i o żołnierzach polskich z chorągiewkami, a czasami przyjdzie też i obrazek ładny do *„Wiarusa.”*

Z treści tego programu można poznać wyznanie wiary politycznej, z przeznaczenia jakie sobie *„Wiarus”* założył poznać dążności jego, a ze stylu jak jest pisany: — zdaje nam się, że ten ułamek usprawiedliwia nasze zdanie, iż *„Wiarus”* jest *najpoczciwszym* a oraz do *wykształcenia i usposobienia* ludu najtrafniej zastósowanem ludowem pismem. Założenie i rozszerzanie podobnego pisma w naszym kraju, **z zastósowaniem** do *odmiennego* usposobienia naszego ludu, byłoby wielką obywatelską zasługą.

Korespondencja literacka.

Drugi list słowiański w *Przeglądzie poznańskim* podaje bardzo praktyczne i duchem tolerancji tchnące rady na pytanie: *„Co ma czynić Liga względem Słowiańszczyzny”* mi nowicie względem Szlązaków, Serbów łużyckich, Kaszubów, Rusinów i Litwinów (choć nie Słowianie). Naznacza dwa główne w tej mierze działania bardzo trudne dziś do wykonania t. j. zawiązanie komunikacji i wpływanie na rozwój narodowości przynajmniej przez literackie związki ze wszystkiemi pobliżkiemi krajami.

Rozbiór dzieła: *„De la democratie en France par Guizot”* jest właściwie tylko podaniem treści tego dzieła, nie krytyką i zastósowaniem zasad Guizota do Polski. Z tém jednak ma się rzecz, jak ze wszelkiemi ogólnemi zasadami, nie opierającemi się zarazem na umiejętnym systemie teorji i na rozumném doświadczeniu, albo wywiedzionemi w drodze indukcji z krótkiej praktyki życia jednego człowieka, albo wysnutemi odrębnie od wszelkiej praktyki.

Każdy takowe zasady uznaje za słuszne, gdy je wyrwie pojedynczo z całości, bo je każdy rozumi jak chce. Tak np. p. Guizot oznacza jako warunki wolności narodów: ducha familijnego, ducha politycznego i religijnego.

Pojęcia te są również elastyczne jak pojęcie demokracji

na którego elastyczność p. Guizot się skarzy. Bo np. komunista który znosi małżeństwo, znachodzi *duch familijny* w tém aby każdemu było wolno zaszczepić familij tyle ile chce, i z kim chce; inny zaś upatruje tego ducha w *patrjarchalności*, inny w *majoratach* i t. d.

Tak ducha politycznego jedni upatrują w tém aby wszyscy ulegali jednemu władcy nieograniczonemu, drudzy aby każdy rządził.

Ducha religijnego jedni w jednolitości kościoła, drudzy w zupełnej religijnej wolności, lub w nieskończoném sektarstwie.

Z dzieła p. *Guizot* poznać co on pod temi wyrazami rozumi, ale i jego pojmowanie jest jednostronne. Zaiste do przekonania każdego trafia zdanie, iż dzwigniami życia ludzkiego jest *rodzina*, duch *polityczny* i *religijny*. Lecz gdy w dziele p. Guizot umiejętnego i zasadniczego określenia tych pojęć niema, więc zostawia się pole wszelkiemu naciąganiu i wykrzywianiu tychże. A jednak oznaczenie tych pojęć jest tém ważniejsze, iż one się każdemu myślącemu nad stósunkami społeczeństwa nasuwać muszą.

Radośnie mnie uderzyło, iż spotkałem się z p. Guizotem w pojęciu tej prawdy, iż *społecznosć* opiera się na rodzinie, obywatelstwie i kościele (społeczności ogólnie ludzkiej). Znalazłem w tém niejako potwierdzenie mojej teorji przez człowieka, który reprezentuje całe doświadczenie dziewiętnastego wieku.

Szukałem w dziele p. Guizot między mnóstwem porozrzucanych zdań, niemających systematycznego związku, czego też po publicystyczném dziele wymagać niemożna— szukałem umiejętnego określenia co on rozumi pod duchem familijnym, politycznym, religijnym. Znalazłem nawiasem natrącone pojedyńcze znamiona tych pojęć, które dziwnie się zgadzały z mojemi wyobrażeniami.

Tak mówi p. Guizot:

„Człowiek nie jest tylko istotą indywidualną, to jest zwie-
„rzęcą; on tworzy ludzkość, ma życie zbiorowe i jego prze-
„znaczenie jest wyższe stopniowe. Z kąd takowe przeznacze-
„nie? Z tąd, że człowiek nie żyje tylko życiem własnym, ale
„życiem drugich; rodziców, braci, przyjaciół, współobywa-
„teli, że życie człowieka przekracza granice śmierci, że za
„pomocą dziedzictw, testamentów i t.d. jedno pokolenie wywie-
„ra wpływ na drugie. Ciągła jedność i postęp nieskończony
„który z tąd wypływa, wiąże pokolenia i narody w ludzkość.

„Na tem polega oryginalność i wielkość człowieka, na tej
„prawdzie zasadza się panowanie nasze nad światem i nasza
„nieśmiertelność, na tej prawdzie polega także *familija*,
„własność, dziedzictwo, ojczyzna, historja, chwała, wszystkie
„czyny i wszystkie uczucia stanowiące ciągłe i niezmierzone
„życie ludzkości w pośród ograniczoności i znikomości życia
„indywidualnego."

W tych słowach p. Guizot przelyskuje pojęcie *familji*, jako jednej z podpor istnienia całego rodu ludzkiego, jako społeczności uzasadnionej w przyrodzeniu człowieka, a wynikającej z dążenia rodu ludzkiego do trwania, z woli człowieczeństwa utrzymania się przy istnieniu. Jednak to pojęcie nie jest nigdzie wypowiedziane wyraźnie. I przez to zostawił p. Guizot pole każdemu do naciągania pojęcia rodziny wedle swoich osobistych przesądów.

Brakuje także w dziele p. Guizot nader ważnych rzeczy t. j. wskazania środków, któremi nadwątlone życie rodzinne podsycić, wzmocnić, rozwinąć można — jak związać to co się rozwiązało.

P. Guizot ogranicza się na zarzucie, że komunizm i socyalizm niszczą życie rodzinne — zarzut jest słuszny, ale dla czego p. Guizot się tylko na zarzucie ogranicza. P. Guizot zarzuca dalej, że duch rewolucyjny nie dostarczy Francji (a co p. Guizot o Francji mówi, to się mniej lub więcej do całej Europy ściąga) tego co jej brakuje, ten duch który „*wznieca hałas a nie prowadzi do postępu, pali i oświeca, a nie ogrzewa, nie obudza wiary a szerzy zwątpienie. Jego wykrzyki, jego wspomnienia i t. d. utrudzają postęp.*"

P. Guizot przedstawia smutny obraz dzisiejszej społeczności i bardzo prawdziwy — wyraża to wielu słowami jasno i wyraźnie co *Andrée Mazzini* powiedział kilkoma słowami mniej jasno ale niemniej trafnie, jeżeli nie trafniej: „*nous descendons maintenant.*"

To zstępywanie, o którém mówi A. Mazzini nie jest cofaniem się wstecz ale jest przejściem, z którego wyjdziemy na dziedzinę nowej ery w życiu ludzkości, po odrzuceniu tego co jest zepsute a zatrzymaniu zdrowego jądra; z tego zaś nowe siły wydobędziemy.

P. Guizot usiłuje wprawdzie wskazać środki ku temu i utrzymuje, że takowemi są: duch rodzinny, polityczny i religijny.

Ale aby te środki uzyskać, trzeba znowu środków. Jakim sposobem więc pytamy się wskrzesić albo obudzić te trzy duchy?

Takim środkiem ma być zlanie wszystkich stronnictw umiarkowanych w jedno przeciw *duchowi rewolucyjnemu.*

Ale jak te stronnictwa mają postępować, jak działać? *Oto walczyć i wojować aby położyć koniec wojnie:* taki jest właściwie sens moralny broszury p. Guizota. Więc podżegać wojnę aby spokój ustalić, którego pan Guizot słusznie tak bardzo pragnie.

Może to za wielka śmiałość sprzeczać się z człowiekiem takiej powagi jak p. Guizot, ale pomimo wszelkiego łamania głowy nie mogę w tém upatrzyć wynikłości. Myślałem, że owe trzy duchy najlepiej się obudzą przez *wychowanie* i kształcenie mniej oświeconych klas społeczeństwa, przez rozszerzanie zakładów naukowych najniższego rzędu, przez wspieranie oświaty szczére tak ze strony rządu jak prywatnych, przez stowarzyszenia w tém celu zawiązywane. Nareszcie

zapewnienie bytu materjalnego jest w tej mierze nader ważną rzeczą, bo nic bardziej nie niszczy ducha rodzinnego politycznego i religijnego jak *nędza*.

Duch polityczny o którym pan Guizot tak pięknie się wyraża: *iż polega na chęci i woli odegrania roli regularnie bez gwałtu w sprawach narodowych*, nie jest także dość zasadnie określony w tém dziele. Ale pominąwszy to, mówiąc o duchu tym, najbardziej zdradza p. Guizot swoją jednostronność; pan Guizot żąda nader trafnie, aby „*stronnictwa ściśle oznaczyły czyny, które prowadzą do tego, co być może, nie do tego, czego się pragnie choć jest niemożliwe, aby wolne były od uroszczeń*, żąda *ostrożności i umiarkowania*, dalej żąda *roztropności*, nawet *moralności, uszanowania praw* i zatem idącego *poszanowania władzy*.

Zaiste nic piękniejszego nad to; ale pan Guizot tak mów jakby *rządy tych wszystkich obowiązków nie miały, tylko rządzeni*: ta jedna pomyłka obala całe piękne rozumowanie p. Guizota.

Tymczasem djabeł swoje, pleban swoje. — *Przegląd* podskakuje z radości, że p. Guizot przemawia za duchem religijnym i upatruje w katolicyzmie jedyne zbawienie, a za to wszystko mu przebacza.

My nie jesteśmy przeciwnikami katolicyzmu, ale mówimy: daj Boże aby niczego więcej nie było potrzeba dla naszej przyszłości.

Nareszcie nie dzielimy zdania *Przeglądu* „że w Polsce duch *familijny i religijny* był słaby;" całą wadą Polski w ostatnich czasach było, że duch *familijny i religijny* był jej *jedyną* potęgą, duch polityczny nietylko był słaby, ale go na ostatku całkiem brakowało i to ją zgubiło.

Bo zepsucie życia familijnego i niereligijność jakieś jednej małej części narodu, nie pozwala sądzić w ten sposób o *całym* narodzie, a przeciwnie kilka głów politycznych nie stanowi ducha politycznego całego narodu.

TEATR.

Dnia 15 t. m. był benefis p. *Nowakowskiego*. — Wieczór ten był jednym z najprzyjemniejszych w tutejszym teatrze. Uświetnił go bowiem nietylko beneficjant sam grą swoją, ale wprowadził po pierwszy raz na scenę swoją córkę, pannę *Bronisławę*, która gdyby się chciała poświęcić sztuce dramatycznej, mogłaby się stać kwiatem naszej sceny. P. *Lech Nowakowski*, syn beneficjanta, występował parę razy i możemy z chlubą o nim powiedzieć, że wstępuje w ślady ojca; że ma troche mniej żywości, tego mu bynajmniej nie poczytujemy za wadę, byle zawsze w stósownych występował rolach: jeżeli bowiem występywać będzie w rolach wymagających żywszego usposobienia niż jest jego naturalne, wtedy zbyt łatwo może popaść w przesadę, siląc się nad siły. Niekażdy artysta rodził się *Garrikiem, Talmą, Keanem*, jak niekażdy dramatyk *Shakespearem, Molierem* i t. p. Tego ostatniego zdania mieliśmy dowód w benefisowej sztuce: *Młoda chrzestna mama*. Trudno znaleść mniej naturalny utwor, a więcej wykrzywione charaktery, więcej naciągnioną i błahą intrygę jak w tej sztuce. Dość powiedzieć że autor, przedstawia bardzo młodziuchną wdowę (to łatwo być może) jakby naiwną *dziewczynę* (już to niepodobna), która się kocha na ostro w swoim chrzestnym synie (to znowu może być) ale niewie o tém (*sancta simplicitas!*) i łudzi się, że to jest *chrzestno-macierzyńska* miłość. Ta ułuda tak jest mocna, że trwa potem, kiedy wśród bardzo poważnej reprymendy chrzestny synalek, pomimo wszelkiej trwożliwości objawia swoje posłuszeństwo w ten sposób, iż karze swoją chrzestną mamę całuskiem za wyrządzoną sobie obrazę: w czem pierwej sama chrzestna mama lekcję mu dała. Główna więc rola była chrzestnej mamy, którą *p. Nowakowska* odegrała z taką prawdą, z taką naturalnością, iż zapomnieliśmy przy jej grze o wszelkich usterkach sztuki. Znać było, że z wielkim zamiłowaniem i z doskonałem przygotowaniem wystąpiła. Takiej artystki życzymy naszemu teatrowi. Brat jej miał zbyt mało znaczącą rolę, odpowiedział w niej wszelkim wymaganiom sztuki, chociaż zdaje się, że ją niegrał ze zupełném zamiłowaniem (*con amore*.)

Przebudzenie się lwa Scribego była druga sztuka, w której beneficiant miał główną rolę. Staruszek podagrzysta przyjechawszy do swego chrzestnego syna na pocieszenie w starych latach, oburza się, że w bilecie od jednego z wietrzników departamentowej stolicy do tegóż syna pisanym, nazwano go *starą mumją*. Zmusza zatém syna swego, aby nieodwoływał *rajskiego* objadu i balu, który sobie przyjaciele u niego wyprawić mieli, na rachunek spadku *po starej mumji;* i układa zawstydzić młokosów przypomnieniem swoich dawnych czasów. To przypomnienie tak jest żywe, że „*stara mumja*" występuje z całą salonowością z czasów cesarstwa, tańczy gawota i inne tańce do upadłego, gra w karty i przegrywa znaczne summy, pije, bije się na florety, nawet odstręcza temu na którym się chce zemścić kochankę (w prawdzie tylko przez wiadomość o trzechmiljonowym majątku), słowem występuje zupełnie jako stary młokos; nareszcie żeni swego chrzestnego ze skromną dziewczyną, która tylko dla tego przyjęła zaproszenie na rajski wieczór, uczynione wbrew woli gospodarza domu a swego kochanka, aby się widzieć z chrzestnym ojcem, który jest oraz jéj nieznajomym dobroczyńcą.

Cała ta sztuka wydała nam się karykaturą, choć może ona dla francuzkiego towarzystwa tém nie jest, z tąd pochodzi, że pominąwszy rolę dla której (jak zwykle podobno) cała sztuka napisana, drugą głowną rolą jest ta, która na zawikłanie i rozwiązanie dramatyczne sztuki najmniejszego niema wpływu t. j. karykaturowa rola niegdejszej tancerki i kochanki „starego lwa" a dziś starej *panny* par excellence, która także do tego stopnia się „*przebudza*", że

tańczy gawota z całą zręcznością tancerki. Tę rolę odegrała p. Radzyńska, jak wszystkie podobne, doskonale.

O *p. Nowakowskim* cóż mamy powiedzieć? Chyba że to *„przebudzenie się lwa”* niebyło tylko komedją, ale rzeczywistém przebudzeniem się lwa jako artysty, tyle bowiem ruchliwości i żywości przewyższyło nasze oczekiwania, a dało nam wyobrażenie jakim być musiał za młodu. Aby jednak niepisać samych panegiryków musimy zrobić uwagę, że popobno od *„liona”* tak jak od *„lionessy”* z czasów cesarstwa możnaby wymagać trochę więcej etykiety.

Zresztą mnóstwo było ról tak nieznaczących, nawet te które są główne w całej intrydze, że szkoda mówić o nich.

Nadesłane (*).

Niemal w każdym numerze „Czasu“ czytamy krytyki na pisma, zakłady, redaktorów i wydawców lwowskich. Czytaliśmy i nieodpowiadali — bo czasem lepiej i milczeć na to, co niekoniecznie warto odpowiedzi; ale gdy znowu milczenie podbudza śmiałość napastników — to jest koniecznie czyim obowiązkiem przemówić za słusznością. Najprzód na Tygodnik lwowski oburzyli się krytycy krakowscy iż śmiał się ukazać w polskim świecie, redagowany i wydawany przez ludzi z nazwiskami niepolskiemi i nieliterackiemi. Zarzut co do nazwisk jest tak dziwnym i niesłusznym iż widno nadto jasno, iż ten co go czyni, lubi pisać bez zastanowienia. Bo cóż na to powiedzą nasi Libelty, Lelewele, Kremery i tylu innych, których nazwiska nie brzmią polsko, a są przecię zasłużeni literaturze polskiej i uznani za dobrych Polaków— niewiem więc, co by bardziej miało mieć w sobie cudzoziemskiego nazwisko Widmann lub Wild od wyż wymienionych nazwisk autorów, iż tak oburzyły panów krytyków. Czyż nawet i wydawcą polskiego dzieła nie może być człowiek z nazwiskiem niemieckiem?... A wieleż to dzieł wychodzi i wyszło w Lipsku, Francyi, Wrocławiu i innych miastach których wydawcy nie tylko że nazwiska mieli nie polskie, ale może nawet duch i język nie polski, a cóż to szkodziło dziełom?... Czyż dzieła wydawane drukiem i nakładem Korna i Glücksberga mają na nas uprzedzające robić wrażenia?... Oto idąc za zdaniem pana krytyka — uprzedzeni, zbierzmy wszystkie dzieła które miały autorów lub wydawców nazwisk niepolskich, rzućmy je na stos i zaprośmy fanatycznych patrjotów, aby przy tém literackim auto-da-fe oświecili swoje umysły, i dostrzegli ile ciemnoty i klęski z podobnych przesadzonych wymagań, na Polskę spaść może.— Sądzę iż szkodliwszemi są podobne wymagania tendencjom polskim, niż same nazwiska niepolskie — bo jestże to rozsądek, Polaka, bo na polskiej zrodzonego ziemi, chcącego się wnarodowić w krainie gdzie się zrodził, który innej niezna ojczyzny, przyczyniającego się do wzrostu literatury polskiej tak niepolitycznie i poziomo zrażać?...

Co się zaś tycze zarzutu, że redaktor Tygodnika lwowskiego nie ma bardzo literackiego nazwiska — niewiem w prawdzie, szanowny krytyku, w jakim jesteś wieku i czy masz bardzo literackie nazwisko (bo krytyki pisząc niewymieniasz go, co mi się bardzo podejrzaném zdaje), ale to wiem, iż nikt bardzo łatwo i prędko nieprzyszedł do wielkiego imienia literackiego — co się może i zasłużonym krytykom w poniżaniu innych przytrafiło. Redaktor tygodnika lwowskiego jest młody, rozpoczął niedawno literacki zawód, może więc z czasem przyjść do zasłużonej istotnie powagi literackiej. Zrażać literatów młodych i ludzi z dobremi chęciami jest grzechem narodowym, bo starzy pomrą a zniemi i literatura polska, jeżeli młode pokolenie zrażone zawczasu nie wstąpi w zawód autorski. — Jeniusz i talenta nie są grzybami, które bez uprawy na lada śmiecisku wzrosną, jedną wiosną i jedną ulewą powołane do życia. Pojmuje, iż krytyka rozsądna użyteczną być może, ale krytyka dzieła, nie nazwiska autora lub wydawcy — lecz kto z profesji chce być krytykiem, a niema się czego uczepić, to przynajmniej nazwiska się czepia. Krytycy krakowscy obrali widzę Lwów na pole swéj nieużytecznej pracy, bo niewydającéj żadnych dobrych plonów. W prawdzie mamy prawo wymagać, aby w Krakowie same arcy-dzieła wychodziły, bo tam narodowość uznana przecie za polską — ale tu gdzie różnorodne żywioły chcą narodowość polską uspić a inną obudzić, prędzej nam ujdzie, jeżeli niezupełnie doskonałe utwory literackie wydawać będziemy — bo gdzie wzrost tłumią, tam bujności niema. Widzimy jednak że i w ognisku narodowości polskiej i w pismach które nawet nazwiska niechcą przypuścić niepolskiego, znajdują się duże, bardzo duże karty zapisane, nad któremi szkoda psuć oczów.

Przynajmniej, że nasz zakład narodowy Ossolińskich uzyskał pochwałę krytyków krakowskich — ale jaką? oto, że raz przecie z jego drukarni wyszło dzieło jakiejś wartości, — lecz w końcu pokazało się, że ta pochwała była dążnością do większéj nagany — bo piszący ją — raczył zawyrokować, że Pamiętnik Jemiołowskiego obiecujący wiele, nic nie wart. Krytyki podobne taką mają wartość patrjotyczną, jak wyrzekania na rząd rossyjski Petrykowskiego w więzieniach Zamościa przed Łukasińskim, i takie same robią przysługi narodowości polskiej.

Lecz nie dość, że mamy w Krakowie osiedlonych krytyków — jadą tam jeszcze skorowozem krytycy lwowscy — a przywdziewając rękawicę rycerską, stają w obronie dam

---

(*) Redakcja miała w prawdzie zamiar przejść milczeniem ową niekrytyczną krytykę *a priori*, nie *pisma* swojego, ale raczej *osób* wydawcy i redaktora, w *„Czasie”* umieszczoną.—

Gdy nas jednak spotyka ten zaszczyt, że jedno z najpiękniejszych obecnie piór płci pięknej w Polsce staje w naszej obronie, a przytém ujmuje się za pismem tak poważania godném jak są *„Wianki”*, którému szczerze najlepszego powodzenia życzymy: więc jesteśmy w przyjemny sposób zniewoleni przerwać nasze milczenie.

dobroczynności. Ani słowa — piękny zawód — cóż, kiedy tak niezręcznie wykonany!.,. Gdyby nie ta nieszczęsna obrona, niktby ani pomyślał, że można robić zarzuty damom dobroczynności w najpiękniejszych chwilach ich życia — bo niewinne i nie w myśli obrażenia napomnienie *) w pismie *Wianki*, miało tylko na celu, aby Panie pełniące swój szlachetny zawód dam dobroczynnych, niedały się zrażać w pięknym natchnieniu na widok nędzy, lada rubasznym i nielitościwym mowom furmana lub lokaja — i cokolwiek więcej poświęcały czasu swém dobrowolném obowiązkom — rycerz występujący obznajmił nas, iż nie wszystkim paniom, należącym do towarzystwa dobroczynności, musiało się to lekkie przypomnienie podobać, kiedy wystąpił jako obrońca. Lecz kto wie, czy to nie jest obrońca nieproszony — gdyż wnosić wypada, iż dobroczynność litościwa, jest oraz skromna i pokorna, przyjmująca z wdzięcznością skazówkę, jak można więcéj dobrego uczynić — i nie waha się nawet iść bogobojnie w ślady owego świątobliwego księdza Boduin, który zbierając jałmużnę i pełniąc dobre uczynki, dostał policzek i powiedział na to ów mąż wielki w swéj niskiej pokorze —„To dla mnie, a co dla moich obogich?"— Czyż te słowa nie stały się historycznemi a święta pokora wzniosłą cnotą?

Chcielibyśmy jeszcze wiedzieć, aby łaskawy krytyk napisawszy tyle pięknych i użytecznych rzeczy o balach dobroczynnych, a naganiwszy romantyczno-filantropijnie powieści — raczył nam powiedzieć z kąd wychodzi reforma towarzystwa?... gdy tak tragicznie ubolewa: *iż śmie wychodzić z po za krosienek pensionarskich?...* Dotąd nieznajome nam inne zakłady reform towarzyskich, prócz zakładów naukowych, zacząwszy od warsztatu rzemieślniczego aż do obserwatorjum astronomicznego — pensje męzkie i żeńskie, szkoły publiczne, uniwersytety, wszystkie zakłady naukowe nie są czém innem, jak miejscami w których się ludzie kształcą, formują, reformują — a nawet wielcy panowie i panie, których majątki są dostateczne aby dzieci swoje uczyć mogli w domu, zakładają familijne pensyjki, do których przybierają nauczycieli i nauczycielki, guwernerów i guwernantki, a ci opatrzeni własną nauką i książkami, formują i reformują towarzystwo przyszłości.— Innych zakładów reformujących towarzystwa, nieznam — są w prawdzie kluby reformujące, ale te jako w stanie oblężenia zakazane u nas — a choćby i nie były zakazane, to się najwięcej tyczą polityki — i nim świat tak zreformują kommunistnie, iż dobroczynność niebędzie potrzebną cnotą, bo każdy będzie bogaty i szczęśliwy, to tém czasem i z za krosienek damskich odezwa do dam, którą się podobało krytykowi reformą nazwać, mogła by wiele dobrego zdziałać, gdyby była przyjętą w tak dobréj chęci, w jakiéj była uczynioną — i nie tłómaczoną złośliwie w chęci pochlebstwa bez użytecznego — a na domiar swéj dawnéj daty dążności, raczył rycerz obrońca przykuć damy jedynie do krosienek — wznawiając zużyty koncept tych, co nielubią patrzeć na to, że i kobieta myśleć umie i nie jest zwierzęciem, któremu tylko mechaniczną pracę wymierzono. A zacząwszy pod nieszczęśliwą gwiazdą swój rycerski zawód, uderzył w pisemko wychodzące pod redakcją kobiety, trudniącéj się wychowaniem panienek i stósującéj to pismo do zawodu który sobie obrała — mniéj dbając czy zyska świetne położenie w literackim świecie, lub pochwały krytyków z profesji — lecz wiele o to, aby jéj pisma wyłączne, lub pod jéj redakcją będące, naginały umysły młodzieńcze do wszystkiego, co jest szlachetne przez się samo, moralne i religijne. Jeżeli zaś nie do saméj młodzieży czasem przemówi, to w tém mniemaniu, iż dopomagając w dążnościach szlachetnych wznieść się do doskonałości, nieubliży nikomu — a zadowolniając publiczność, która jéj swoje dzieci powierza wyznaniem swoich zasad, spokojna dojdzie do swego celu, chociaż poklasków nieotrzyma tylko w swoim sumieniu a pociechę w wypełnieniu obowiązków które na siebie przyjęła.

Marja Pomezańska.

(**) Redakcja pozwala sobie uczynić uwagę, że nawet napomnienia nie ujrzała we wspomnionym artykule, któreby było wymierzone do lwowskich dam dobroczynności. Jeżeli szan. rycerz-obrońca ściągnął sens moralny powiastki p. Goczałkowskiej do dam dobroczynności, to on im ubliżył, nie zaś autorka, uznał bowiem tém samém, iż ów sens moralny dał się zastósować właśnie do dam dobroczynnośic we Lwowie: czego ani autorka niewyraziła nigdzie, ani to większej części czytających na myśl nieprzyszło. Niech się ów obrońca strzeże, aby mu nieprzypomniano pewnego przysłowia *o gorejących czapkach*.—

Wydawca: ***Karol Wild.*** Redaktor: ***Karol Widmann.***

Drukiem prassy pospiesznej **A. B. Winiarza we Lwowie**, przy ulicy krakowskiej p. l. 77.